

Waldemar LAZUGA

Wincenty Witos – trybun ludowy czy Makiawel?*

Urodził się 21 stycznia 1874 r. w Wierchosławicach w małej izbie przerobionej ze stajni. Rodzice mieli dwie morgi pod lasem i wśród sąsiadów uchodzili za biedaków. Do szkoły poszedł, gdy miał 10 lat. Szybko opanował sztukę czytania. Czytał Żywoty Świętych, Kazania Skargi i Sienkiewicza. Polityki uczył się z „Przyjaciela Ludu”. Wzorem był mu ks. Stojałowski i, o wiele radykalniejszy, „makiaweliczny” Jan Stapiński. Pracował nad sobą „z zawziętością”. Po wojsku się ożenił. Żona Katarzyna Tracz wniosła mu w posagu kilka mórg i dzięki temu z biedniaka awansował „na średniaka”. Doceniał wagę tego i wszystkich następnych awansów. Był ambitny. W warunkach konstytucyjnych monarchii habsburskiej, galicyjskiego lojalizmu szybko piął się w górę. Zadebiutował w 1893 r. tekstem o katastrofalnym stanie oświaty. Miał twardy charakter. Zdrowy rozum. I – choć w istocie samouk – władał polszczyzną, której wielu mogło mu pozazdrościć.

Wójt Wierchosławic to początek jego kariery. W latach 1905–1907 był członkiem rady powiatu w Tarnowie. W 1908 wszedł do sejmu krajowego. W 1911 zdobył mandat posła do parlamentu w Wiedniu. Umiał wygrywać wybory. Gdy w izbie zabierał głos, słuchano go. Przemawiał wyraźnie i dobitnie. W sejmie walczył z wyborczym „piwem i kiełbasą”. Mówił o koniecznych melioracjach i zaopatrzeniu ludności w węgiel na zimę. Zwiąźle i konkretnie. Dobrze liczył. Na tyle dobrze, że brał udział w sejmowych debatach nad budżetem, co szybko przestało dziwić. Oświata pozostała leit-motivem wielu jego wystąpień – o niej mówił jako o „krynicy życia” i nie brzmia to fałszywie. Szybko opanował reguły gry parlamentarnej. Zanurzył

* Streszczenie wykładu wygłoszonego podczas Uroczystego Posiedzenia Publicznego PAU w dniu 15 czerwca 2024 r.

się w kuluarowych rozgrywkach. Miał instynkt przywódcy, ale potrafił też słuchać innych; profesorów i hrabiów nie wyłączając. Znał się na ludziach, łatwo zjednywał sobie zwolenników. Historii Polski uczył się podobno od Michała Bobrzyńskiego, przedstawiciela nurtu krytycznego w naszej historiografii, czołowego stańczyka, autora „Dziejów Polski w zarysie”.

„Chłop – pisze Witos – nie jest marzycielem. Twardo stąpa po ziemi. Jest realistą”. Dalej jest o „szampanie, który podnieca wyobraźnię i rozmarza głowę”. Szampan jako metafora fałszywych prawd i pustych obietnic. Coś z Bobrzyńskiego. Coś ze stańczyków.

W Wiedniu czuł się mniej pewnie niż w sejmie lwowskim. Gama spraw była szersza. Stopień skomplikowania większy. Wiednia dopiero się uczył, nie należał do *Vidobonae educati*, jak wielu w Kole Polskim zdominowanym przez konserwatystów. Słabo znał niemiecki. Szukał swego miejsca i głosiwał często z Czechami.

Pierwszej wizycie u namiestnika Galicji, skojarzonej ze „łśniącą posadzką”, nadał rangę symbolu. Bał się, że na tej wypolerowanej posadzce przewróci się i skompromituje. Nie przewrócił się, ale posadzkowy „kompleks” kilka razy jeszcze się w nim odezwał.

Tymczasową Komisję Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych utworzono przed I wojną światową. Skupiała różnych ludzi i stronnictwa. Witos był w niej od... finansów. Wojna dobiegła końca. W Krakowie, w październiku 1918 r., powstała Polska Komisja Likwidacyjna – pierwszy na ziemiach polskich tymczasowy organ władzy. Witos został jej przewodniczącym. Wpływy i realna władza komisji były niewielkie. Złe to znosił. Komisji bronił przed atakami współczesnych i potomnych; Bobrzyńskiemu wytknął, że we „Wskrzeszeniu Państwa Polskiego napisze o niej z lekceważeniem”. Zwalczał komunistów i radykałów od księdza Okonia. Prowadził rozmowy z namiestnikiem Galicji i nie przeszkadzało mu, że był nim Niemiec. Od Szeli, symbolu galicyjskiej rabacji, był jak najdalszy. Miał ambicje ponadzaborowe. Domagał się jak najszybszego utworzenia rządu i zwołania jednoizbowego sejmu. Z galicyjskiego stał się ogólnopolskim politykiem. Szybko pokonał dystans. Jego pozycja wzrosła. W lewicowym, socjalistycznym rządzie lubelskim Ignacego Daszyńskiego znalazło się jego nazwisko. Uznał to za falstart i nazwisko oficjalnie wycofał. Do socjalistów miał dystans. Za Daszyńskim nie przepadał. Od Józefa Ostrowskiego, regenta Rady Regencyjnej, otrzymał propozycję udziału ludowców w rządzie zjednoczenia narodowego na spółkę z „poznańczykami”. Po wahaniach propozycji nie przyjął. Może dlatego, że Rada Regencyjna wydawała się instytucją bez przyszłości. A może dlatego, że nie usłyszał, iż premierem zjednoczonego rządu zostanie on. Na innych grać ani myślał. Wołał czekać.

Po wyborach do Sejmu Ustawodawczego Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast” stało się trzecią siłą; po endecji występującej jako Zjednoczenie Ludowo-Narodowe i PSL-Wyzwolenie. Trzecie miejsce dało mu pretekst do kolejnych testów. Zbliżył się do endecji, choć nigdy jej nie polubił. Nie protestował, gdy zgłosili jego kandydaturę na marszałka Sejmu, ale zorientowawszy się, że nie ma szans na wybór, oświadczył, że sam głosował na Trąpczyńskiego. A nawet namówił do tego swoich ludzi.

Ta makiaweliczna cokolwiek „przymiarka” zwróciła na niego uwagę i przydała się w najtrudniejszych dla młodego państwa chwilach, gdy w 1920 r. Polska znalazła się w stanie wojny z bolszewicką Rosją. Powołany wtedy rząd Witosy – pisze Adam Wątor – opinia publiczna przyjęła z ogromną ulgą. „Niebezpieczeństwo zagrażające Rzeczypospolitej z zewnątrz, dokonano tego, do czego można było uprzednio skłonić argumentami rozumowymi”. Rząd z Witosem i Ignacym Daszyńskim jako wicepremierem można było przedstawić jako robotniczo-chłopski; a raczej chłopsko-robotniczy, bo PSL Piast miał w nim trzech przedstawicieli, PSL-Wyzwolenie – dwóch, a PPS tylko jednego, choć w istocie był szeroką koalicją. Miała poruszyć najniższe warstwy. Ułatwić powszechną mobilizację. W Polsce „bardzo wiele, wiele z Piasta; chłop potęgą jest i basta”. Można było odwołać się do Kościuszki. I do dewizy kosynierów „żywią i bronią”. W exposé z 24 lipca 1920 r. Witos nazwał swój gabinet „rządem obrony narodowej”. Zaapelował do uczyć patriotycznych. Wezwał do jedności i zażądał od społeczeństwa „krwi i trudu”. Odmówił też opuszczenia zagrożonej przez wroga Warszawy i udał się do oddziałów walczących pod Radzyminem.

Z ostentacją noszący się z chłopską wyszedł z tej wielkiej próby zwycięsko. Pokazał się jako mąż stanu. Człowiek z charakterem. Zdobył szacunek rzesz Polaków.

Do maja 1926, kiedy jeszcze dwukrotnie stawał na czele koalicyjnych rządów, jego kandydatura narzucała się wielu z mocą oczywistości. Jego pomajowi następcy: Kazimierz Bartel i Walery Sławek na czele rządu stawiali pięć i trzy razy. Tyle, że rządził wtedy Piłsudski, który premierów powoływał i odwoływał według uznania, co ładnie nazwano „bartlowaniem”. Witosy wynosiły skomplikowane konstelacje. Mistrzostwo w kuluarach i „małe makiawelizmy”. Niezależnie od „Piasta” wnosil się też często sam.

Zdumiewające, jak szybko się uczył, i jak w polityce był elastyczny. Nie cierpiał masona Stanisława Thugutta z PSL-Wyzwolenie, nie cenil Ignacego Daszyńskiego z PPS, ale z nimi i z hrabią Janem Tarnowskim czy z Goetz-Okocimskimi umiał rozmawiać i porozumieć się. Bobrzyński pisał, że PSL-Piast był najlepiej zorganizowaną partią w Polsce. Prof. Janusz Pajewski opowiadał, że on i cała jego rodzina, a także niemałe grono profesorów Uniwersytetu Warszawskiego, głosowało na „Piasta”. Miał Witos coś,

„co czyniło różnicę”. Wydawał się „zdroworoślakowcem”, nadzwyczaj odpowiedzialnym politykiem i wielkim graczem.

W polityce zewnętrznej orientował się nie gorzej niż w wewnętrznej. Potrafił zaskakiwać. Układ w Rapallo uznał za „niesłuchanie groźne chmury”. Ligę Narodów za „najwyższy trybunał świata”. Uparcie bronił porządku wersalskiego. Interesy międzynarodowe Polski rozważał bez kompleksów, chłodno i powściągliwie. Jednocześnie kokietował swoimi brakami w wykształceniu i nienoszeniu krawata. Uczynił z tego znak rozpoznawczy. Choć koszulę miał zawsze śnieżnobiałą, a na nogach wysokie „wyglancowane” buty.

Czy w 1922 r. chciał być prezydentem? Uchodził wtedy za „wielkiego rozgrywającego”, bywał cyniczny i bezwzględny. W kulisach nadaktywny snuł misterną pajęczynę intryg. Jednego chyba wtedy nie zrozumiał. Nawet najbliżsi i najżyczliwsi mu ludzie z trudem wyobrażali go sobie jako głowę państwa, która wielu kojarzyła się z królem. Na prezydenturę Witoso było za wcześnie. Trochę się pogubił w skomplikowanych intrygach.

Po zamachu majowym obalony Witos był pełen gorczy. „Majowi kombatanaci” – jak mówi o piłsudczykach – opanowują aparat państwa. Reglamentują demokrację. Gwałcą prawo. W jednym z wystąpień wyraził się nawet, że są gorsi od zaborców. Był zrażony do socjalistów, którzy poparli nowe rządy i do ludowców z Wyzwolenia, którzy nie wiadomo, po której są stronie. A mimo to, gdy w 1929 r. powstał Centrolew – Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu łączący partie centrowe i lewicowe, Witos „przeprosił” się z jednymi i drugimi i przystąpił do Centrolewu. Centrolewowi udało się obalić rząd, ale nie udało zapobiec skutkom rozwiązania sejmu – w konsekwencji masowym aresztowaniom działaczy opozycji uwięzionym w Brześciu i wyborom, które przyniosły porażkę, a następnie rozpad partii.

Witos trafił na ławę oskarżonych. W drugim dniu procesu, 27 października 1931 r., wygłosił szeroko komentowaną mowę. Mówił, że niedawno jeszcze trzeba było tłumaczyć, czym jest – i jakim dobrem – wolna ojczyzna. Dla wielu ludzi było to pojęcie nowe”. I jeśli dziś w młodym państwie ciało wyłonione wolą narodu podlega decyzji jednego człowieka, to jest to dyktatura „człowieka lub kliki”. Zakończył słowami: byłem prezesem rządu obalonego przez zamach. „Kto inny robił zamach (...) a na ławie oskarżonych siedzę ja”.

Za Witosem ujęli się przedstawiciele środowisk akademickich kraju. Ostatnie zdanie mowy Witoso prof. Janusz Pajewski znał na pamięć.

W 1932 r. przez Polskę przetoczyły się strajki rolne. Osłabły jednak, wygasły. Chłopi „zobojętnieli”. Opozycja była pokiereszowana. Sanacja górą.

28 września 1933 r. Witos udał się na emigrację do Czechosłowacji. Próbował stamtąd kierować stronnictwem i wpływać na kraj, ale sukcesów większych nie miał. Emigracja brzeska była skłócona. A sanacja o wiele silniejsza

i popularniejsza niż zakładał. Zgorzkniał. Stał się nieprzyjemny. Obsesyjnie interesował się zdrowiem Piłsudskiego i liczył, że po jego śmierci wszystko się zmieni; śnił nawet, że wiadomość o śmierci marszałka przynosi mu... Michał Bobrzyński, eksnamiestnik Galicji.

Nie udało się też współpraca z przebywającym na emigracji Władysławem Sikorskim. Ani z Ignacym Paderewskim, choć to wielki artysta i patriota. Nie doszło do „zjednoczenia autorytetów”. W diariuszu Witosa widać oznaki znużenia i rezygnacji. Opozycja była skłócona. A po tak wyczekiwaną śmierć Piłsudskiego niewiele się zmieniło.

A jednak w 1936 r. na wiecu w Nowosielscach, w obecności marszałka Rydza Śmigłego, chłopci skandowali „zwróć nam Witosa”, „Oddaj Witosa”. W 1937 wybuchły strajki chłopskie. W grudniu 1938 r. w prasie ludowej pojawiły się zalecenia, aby na święta Bożego Narodzenia każdą chłopską chatę przystroić w portret Witosa. Za jego powrotem do kraju opowiedziało się wiele autorytetów z różnych środowisk i stron politycznej sceny. Nie ulega wątpliwości, że jego czas nadszedł.

W marcu 1939 r. Witos wrócił z emigracji. Jego rosnącą pozycję w kraju dostrzegli także Niemcy, którzy w marcu 1939 r. zajęli Czechosłowację. Podjęli próby kontaktu. Liczyli, że w Polsce nastąpi niebawem zamach stanu i Witos znów stanie na czele rządu. Mieli związane z Witosem bliżej niesprecyzowane, a raczej zmieniające się plany.

Tymczasem Witos spotkał się z delegatami chłopów. Zdjęli przed nim czapki. W odpowiedzi zdjął swoją. Wszystko odbyło się w milczeniu. Potem wysłuchali go z najwyższą uwagą. On jeden w coraz bardziej napiętej sytuacji miał autorytet, jakiego – po śmierci Piłsudskiego i Dmowskiego – nie miał już nikt w Polsce

W maju 1939 r. przemawia do chłopów i nawołuje, że mają służyć państwu „bez względu na to, jaki jest rząd”. Jednocześnie w „Kurierze Porannym” ukazał się list anonimowego czytelnika o tym, że Witos powrócił do Polski w porozumieniu z gestapo. To jeden z tych głosów, za którymi stoją jego przeciwnicy. Żaden poważniej mu nie zaszkodził. Jego autorytet był ponadto.

Gdy we wrześniu wybuchła wojna, cierpiał na różne przykre dolegliwości. Został właśnie wdowcem. Ciężko to przeżył. 16 września zatrzymany przez gestapo trafił do aresztu, gdzie przebywał na specjalnych prawach – raczej jako zakładnik niż więzień. Przenieśli go do Poczdamu, stamtąd do Zakopanego. Tam odmówił spotkania z Wacławem Krzeptowskim, szefem Goralenvolku; „ze zdrajcami mówić nie będzie”. Zdystansował się od germanofilstwa. Gubernator Hans Frank nie wierzył, aby z Witosa był dla Niemiec jakiś pożytek. W marcu 1941 r. został zwolniony i wrócił do Wierchocławic.

W lipcu 1944 r. Niemcy podjęli jeszcze jedną próbę – chcą, aby Witos, szef rządu z 1920, gdy Polska walczyła z bolszewikami, wydał antyradziecką odezwę. Odmówił i spodziewał się zemsty. Nerwy miał napięte do ostatnich granic. Mimo coraz gorszego zdrowia i postępującego Parkinsona wytrzymał wszystko.

Tymczasem w lipcu 1944 r. Armia Czerwona zajęła Chełm. Od 22 lipca na wyzwolanych terenach działał Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego podporządkowany Moskwie. W Londynie był rząd Mikołajczyka. Za jego namową władze brytyjskie postanowiły sprowadzić Witosą nad Tamizę, żeby ułatwić rozwiązanie sprawy polskiej. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, ale równocześnie pojawiła się myśl, żeby Witos z kilkoma innymi Polakami udał się do Jałty. Z Lublina od grupy komunistów przysłała inna propozycja – premierostwo rządu i sześć tek do dyspozycji. W 1918 r. – jak pamiętamy – Witos wycofał swe nazwisko ze składu rządu lubelskiego. Teraz też odmówił Lublinowi. W połowie czerwca 1945 dostał zaproszenie na konferencję do Moskwy od ambasadora ZSRR w Warszawie. Mimo dwukrotnego ponowienia – wytłumaczył się chorobą – i nie pojechał. Niektórzy twierdzili, że wykręcał się chorobą. Byli i tacy, którzy widzieli Witosą jako prezydenta Krajowej Rady Narodowej.

24 czerwca 1945 r. podczas konferencji w Moskwie zaocznie podjęto jednomyślną uchwałę o zaproszeniu „Obywatela do współpracy w Prezydium Krajowej Rady Narodowej w charakterze pierwszego zastępcy prezydenta Krajowej Rady Narodowej”, co podpisał prezydent KRN Bolesław Bierut, człowiek Moskwy.

W 1922 r. prezydentura była marzeniem Witosy. W 1945 r. na to zaproszenie – w jakże innej rzeczywistości – długo nie odpowiadał. Do prac w KRN nie przystąpił. Nadchodzącej przyszłości nie był w stanie przewidzieć.

Gdy umiera 31 października 1945 r. w Krakowie w Szpitalu Bonifratrów, jest największym politykiem polskim.